



Fot. Krzysztof Żuczkowski

# trzech na jednego

JEDEN:  
ZDZISŁAW SADOWSKI

TRZECH:  
PAWEŁ DYBICZ  
PAWEŁ KOZŁOWSKI  
FILIP RATKOWSKI

## ZMNIEJSZENIE ROZPIĘTOŚCI DOCHODÓW BYŁOBY IMPULSEM PROROZWOJOWYM

FILIP RATKOWSKI: Zdjęcie Pana Profesora mogłoby być ilustracją do każdej klasycznej pracy analizującej pochodzenie polskiej inteligencji. Pański dziadek, Janusz Nałęcz SADOWSKI, skoro „Nałęcz” to z rodziny wywodzącej się z Wielkopolski, był jednym z dyrektorów lwowskiej opery. A więc entuzjasta opery i zapewne po trosze globtroter, skoro ożenił się z brytyjską Irlandką z Belfastu, panną O'Regan...

ZDZISŁAW SADOWSKI: To stare dzieje. Dziadków moich nie znałem, wiem tylko, że mój ojciec, Sydney Jan Władysław, urodził się w Paryżu i coś z tej międzynarodowej atmosfery widocznie w nim zostało, bo po studiach prawniczych we Lwowie dobrych kilka lat pracował w Hamburgu, a potem w niemieckich firmach w Rosji.

PAWEŁ DYBICZ: I tam dopadła go rewolucja?

SADOWSKI: Najpierw jako poddany austriacki został z wybuchem pierwszej wojny światowej zesłany na Syberię. Potem rodzice poznali się i pobrali w Moskwie tuż przed rewolucją. Moja matka, z domu Malewska, opowiadała, jak po rewolucji zdobyła posadę urzędniczką w centralnym Biurze Zaopatrzenia Armii Czerwonej. Jej szefem był Rykow, a pojawiał się tam jakiś brunet, którego nazywali – Stalin.

W Rosji było wówczas wielu Polaków, którzy, gdy tylko otworzyła się taka szansa, wrócili do Polski. Moi rodzice dotarli do kraju w 1919 roku...

RATKOWSKI: W carskiej Rosji Polak miał szansę na dobrą pracę, byle służył poza *Priwisłańskim krajem*. I do kraju wróciło wielu doskonałych fachowców, w tym inżynierów – jak ojciec powieściowego Cezarego Baryki, czy oficerów – jak Anders, późniejszy generał...

SADOWSKI: Miałem takiego w rodzinie – pułkownika Konstantego Hallera, żonatego zresztą z Rosjanką, później już bardzo spolonizowaną. Nie był krewnym znanego generała, ale po zamachu 1926 roku pozostał wierny rządowi i wkrótce Piłsudski wysłał go na emeryturę...

W naszej rodzinie był zdecydowanie negatywny stosunek do zamachu majowego. Ojciec był niewątpliwie „państwowcem” zachłyśniętym polskością i niepodległą ojczyzną. Miał niemal nabożny stosunek do konstytucji marcowej. Tak więc nie mógł gloryfikować zamachowca.

Dość szybko po powrocie do kraju został urzędnikiem państwowym. Wylądował w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Kadra była wtedy nieliczna. Było tylko dwóch wiceministrów, dyrektorów czterech, a ojciec

był naczelnikiem jakiegoś wydziału, chyba Traktatów Zagranicznych. W jego zespole znaleźli się wybitni potem ekonomiści, po wojnie profesorowie Bobrowski i Łychowski... Ojciec miał doświadczenie w handlu i doskonale znał języki – angielski, francuski, rosyjski i oczywiście niemiecki, choć tego języka nie lubił. Z racji międzynarodowych kontaktów trzymał w szufladzie całą kolekcję zagranicznych orderów, które oglądałem po kryjomu. Jeden był szczególnie piękny – japoński.

**DYBICZ: Jako syn wysokiego urzędnika państwowego miał Pan dzieciństwo spokojne, w miarę zasobne, obracaliście się państwem w kręgach ziemiańsko-urzędniczych. A jaki wpływ na Pana wywierała ówczesna szkoła?**

SADOWSKI: Znaczny. Do szkoły poszedłem wcześniej, najpierw w Londynie, gdzie ojciec został radcą handlowym. Po powrocie do kraju byłem w szkole już zawsze o dwa lata młodszy od większości kolegów z klasy. Jak dziś oceniam, miało to pewne minusy, bo fizycznie nie dorównywałem kolegom, a to jest dla chłopca w tym wieku problem. Gimnazjum Batorego na Czerniakowie to była dobra szkoła, jednocześnie reprezentacyjna i dzielnicowa, łączyła chłopców z bardzo różnych środowisk. Uważam, że było to bardzo pożyteczne dla późniejszego rozumienia się w społeczeństwie.

**PAWEŁ KOZŁOWSKI: Nie chcemy się za długo zatrzymywać nad dzieciństwem, ale ciekaw jestem, jak wówczas wyglądały Pańskie przeżycia natury, powiedzmy, ideowej?**

SADOWSKI: Wyniosłem z domu nastroj przejęcia się głęboko polsnością, a szkoła to podtrzymała z tym, że lansowany wtedy usilnie kult Piłsudskiego śmieszył mnie i złościł. Od znajomych państwa dostałem na jakieś imieniny księgę *Mały Piłsudczyk*, Była dla mnie nieodparcie śmieszna. Z podobnymi nastrojami zetknąłem się po latach, w czasach stalinowskich, tak, że i tej drugiej „hagiografii” nie mogłem traktować poważnie.

**RATKOWSKI: Mało kto zdaje sobie dziś sprawę jak wyglądała II Rzeczpospolita. Kto pamięta, że trzecią część ludności stanowiły mniejszości narodowe, że drobny handel był w znacznej mierze w rękach żydowskich, co budziło różne, niemiłe emocje.**

SADOWSKI: W pewnej chwili i ja sam znalazłem się pod ich wpływem. Jako dwunastolatek wdałem się w organizowanie w szkole grupy Obozu Narodowo-Radykalnego i te związki zostały mi na dobrych parę lat.

**KOZŁOWSKI: I stał się Pan prawdziwym narodowcem?**

SADOWSKI: Nie wiem, chyba niezupełnie. Mnie do ONR pociągnął raczej deklarowany społeczny radykalizm. Wiedziałem już sporo o dramatycznej biedzie wsi... Człon „narodowy” mniej mnie interesował. Bodaj wcale.

**RATKOWSKI: A gdyby spojrzeć okiem psychoanalityka, to mógł być w tym jeszcze kompleks dwunastolatka, który musi dorównać starszym o dwa lata kolegom. Choćby dorównać, czy prześcignąć ich w radykalizmie.**

SADOWSKI: Może i tak było, choć w szkole w relacjach z kolegami zaliczałem się raczej do czołówki intelektualnej, byłem ceniony i przez kilka lat wybiera-

ny na wójta klasy. Przerwała to wojna. Małą maturę, w 1939 roku zdałem mając lat 14. Po udanych wakacjach przyszła pamiętna ewakuacja z Warszawy i tutajżka wrześniowa u boku rodziców, a potem trudny powrót do domu.

**DYBICZ: Klęska wrześniowa to był szok?**

SADOWSKI: Ogromny. Tym mocniej utwierdziłem się w antysanacyjnych nastrojach, jakie zawsze panowały wśród moich przyjaciół z ONR. Mieliliśmy też ogromnie niechętny stosunek do całej spuścizny piłsudzkowskiej.

Już w nowej sytuacji musiałem zdecydować się na jakąś dalszą drogę i wybrałem szkołę chemiczną, dziś powiedzielibyśmy technikum chemiczne. Skończyłem tę szkołę, ale chemia, szczególnie organiczna zbyt kojarzyła mi się z „kucharzeniem”. Wolałem kwestie społeczne, więc ostatecznie wybrałem się do Miejskiej Szkoły Handlowej – szkoły Lipińskiego. Trafiłem wówczas na ciekawego wykładowcę ekonomii, Aleksego Wakara, którego specjalnością była matematyczna teoria przedsiębiorstwa. Lubiełem matematykę, więc spodobała mi się i ekonomia.

**DYBICZ: A za murami domów, w których odbywały się komplety, trwała okupacja...**

SADOWSKI: W tych samych mieszkaniach, w których na kompletach uczyliśmy się do matury, odbywaliśmy zajęcia podziemnej podchorążówki. Skoro utrzymywałem związki polityczne z moimi przedwojennymi kolegami, to i należałem do narodowej organizacji wojskowej.

**KOZŁOWSKI: I pewnego dnia wybuchło powstanie.**

SADOWSKI: Po czterech długich latach zmagania. Pamiętam euforię pierwszych dni powstania, a równocześnie gorzkie poczucie, że uczestniczę w jakimś teatrze absurdu. To niesłychanie trudne do zdefiniowania – czym innym jest moja ocena wydarzenia historycznego, a czymś zupełnie innym kwestia własnego wspaniałego przeżycia! Dyskutowałem kiedyś na ten temat z profesorem Gieysztozem i zupełnie nie umiałem mu przekonująco wytłumaczyć moich odczuć. Do powstania przyłączyłem się w pierwszych godzinach i dołączyłem do oddziału AK, bo koledzy walczyli w innej części miasta. Wtedy praktycznie rozstałem się z moimi narodowcami.

Mam kilka ciekawych epizodów z dni powstańczych, ale przyszedł i taki poranek, kiedy dostałem odłamkami granatu w tętnicę prawego ramienia i w nogę. Straciłem masę krwi. Pamiętam zupełnie miłe uczucie odchodzenia i potem, jak mnie już opatrzyli i położyli w pościeli, a ja wreszcie otwarłem oczy, słowa sanitariuszki: – Zdzisiu, to ty żyjesz? – Potem dostałem ostatnie namaszczenie...

**RATKOWSKI: Podobno to już obowiązuje do końca życia?**

SADOWSKI: Podobno.

**DYBICZ: Był Pan już wyłączony z walki i pewnie usłyszał, co o powstaniu mówi ludność cywilna?**

SADOWSKI: To sprawa znana. W miarę upływu czasu, od pierwotnego entuzjazmu nastroje się zmieniły radykalnie. Ja zostałem ranny po trzech tygodniach, ale już wcześniej, kiedy już przebiegaliśmy przez piwnice, w których chronili się warszawiaczy, pojawiały się wrogie reakcje.

**KOZŁOWSKI: Jak może Pan dziś zdefiniować swój stosunek do kierownictwa powstania?**

SADOWSKI: Zetknąłem się osobiście tylko z Bo-rem Komorowskim i tylko o nim mogę cokolwiek powiedzieć. To było po wojnie, w Genewie, kiedy przyjechał tam w 1957r. na spotkanie z Polonią. Mówił o powstaniu i zapamiętałem z tego niemal dosłownie dwie frazy. Jedna brzmiała: „Proszę Państwa, myśmy mieli wtedy dwóch wrogów, ale byliśmy zupełnie pewni, że Armia Czerwona przyjdzie nam z pomocą!” To pamiętam, tak powiedział! I dodał: „A myśmy broni mieli na trzy dni!” Sala reagowała na te słowa nabożnie, a mnie szlag trafił. Pewnie żona jeszcze pamięta, że z tego spotkania wróciłem roztrzęsiony.

**RATKOWSKI: Jak wyszedł Pan z tego piekła?**

SADOWSKI: Z zagłębionej dwa piętra pod ziemią piwnicy płonącego domu przy ul. Konopczyńskiego 5-7 wyprowadziła mnie sanitariuszka i pamiętam, jak leżałem koło dwóch grobów usypanych na ulicy, a wokół wszystko stało w ogniu. Potem była epopeja wyjścia z walczącej wciąż Warszawy w gronie cywilów pod opieką dzielnych sanitariuszek, i wreszcie dość przypadkowa ucieczka do Milanówka.

**DYBICZ: I wkrótce przychodzi Armia Czerwona. Czekał Pana nowe emocje...**

SADOWSKI: Zaznałem ich już wcześniej, bo w trakcie ewakuacji wrześniowej trafiliśmy do Lwowa, już sowieckiego. Nawet przez kilka tygodni chodziłem tam do szkoły i pamiętam 7 listopada akademię „ku czci Rewolucji”. Odbывало się to w kinie, a zamiast ekranu była wielka plansza, na której, jak *trojka koni* wymalowana była *trojka* lokomotyw i napis „ZSRR – żelaznodaroznaja dzierzawa”. Pamiętam moje zdumienie, że chwalą się zwykłymi kolejami! Potem jakiś prelegent opowiadał o sukcesach gospodarki i ciągle odwoływał się do danych rosyjskich z 1913 roku. Dla mnie to była prehistoria i nie rozumiałam zupełnie, o co chodzi.

**RATKOWSKI: A ja bym rozumiał, bo u nas w Krakowie często mówiło się, jak to było dobrze za Franza Józefa. Tyle że to były uwagi raczej prywatne i zupełnie przeciwne w tonie...**

**DYBICZ: A tuż po wyzwoleniu co się mówiło o nadchodzących zmianach?**

SADOWSKI: Po powstaniu odnaleźliśmy się z rodzicami w Itzy i tam zastał nas front. Pamiętam kanonadę dochodzącą zza góry zamkowej, nagłe ukazanie się w opłotkach żołnierskiego hełmu nieznanego mi kroju i koloru oraz nieprawdopodobne uczucie satysfakcji na widok tego, jak Niemcy najpierw odjeżdżali ciężarówkami, potem szli w kolumnach na zachód, a potem, już indywidualnie, pierzchali w panice! To było piękne doznanie – koniec czarnej nocy okupacyjnej.

Nadchodził ktoś nowy, niezbyt mile widziany, ale jednak nie tak dramatycznie groźny jak hitlerowcy. Wkrótce pojawili się też żołnierze z orłami na czapkach i pamiętam, że dobrze przyjmowali te orły – piastowskie, choć inne od przedwojennych, które kojarzyły się z sanacją.

**RATKOWSKI: Wkrótce zobaczył Pan spaloną Warszawę i przede wszystkim trzeba było ją odbudować.**

SADOWSKI: To było oczywiste. Wprawdzie zaczęli nami rządzić jacyś dziwni ludzie, ale po okupacji to była prawdziwa ulga. Wiedziało się oczywiście, że trwa woj-

na domowa, że po lasach strzelają i że są różne aresztowania, ale w moim otoczeniu nie czuło się zagrożenia, nie było też intencji podejmowania jakiegoś ruchu oporu. Owszem, spotykałem się parę razy z kolegami z czasów okupacji, dyskutowaliśmy, co będzie dalej, ale to było wszystko.

**KOZŁOWSKI: A jaki miał Pan stosunek do tych, którzy siedzieli w lesie?**

SADOWSKI: Od początku uważałem, że to nie ma sensu. W tym czasie mój ojciec, po całkowitej utracie dobytku warszawskiego, w poszukiwaniu jakiegoś nowego punktu zaczepienia ruszył na Ziemię Odzyskane i zatrzymał się w Opolu, a potem ściągnął tam rodzinę. Piękne Opole robiło wtedy szczególne wrażenie, bo było miastem zupełnie wyludnionym i rozszabrowanym przez wojska sowieckie, które wywoziły wszystkie niemieckie maszyny i urządzenia na wschód. Ale już wiedziało się, że to jest Polska, było w miarę spokojnie, kwitły magnolie, więc ojciec postanowił tam zostać – i został, już na zawsze.

**RATKOWSKI: Ale trzeba było się uczyć.**

SADOWSKI: Miałem już zaliczone dwa lata studiów w Szkole Głównej Handlowej, więc zostawiłem rodziców w Opolu, a sam wróciłem do Warszawy. Biblioteka SGH ocalała – były więc książki i tam odbywały się zajęcia. Byli ważni profesorowie. Wakar był naszym głównym preceptorem, z obozu jenieckiego wrócił też prof. Jan Drewnowski, który potem wykładał w Ghanie i mnie tam sprowadził, a sam po różnych funkcjach w Szwajcarii i Holandii ostatecznie osiadł w Anglii i współorganizował Polski Uniwersytet na Obczyźnie.

**KOZŁOWSKI: To naprawdę wybitni profesowie!**

SADOWSKI: **Trudno wymienić wszystkich.** Wówczas system studiowania był podobny jak dziś. Atmosfera była znakomita. Udzielałem się mocno, byłem szefem Bratniaka, robiliśmy sporo różnych imprez, żyło się intensywnie. Po trzecim roku zrobiłem dyplom. Po ostatnim egzaminie złożyłem indeks z wszystkimi zaliczeniami w sekretariacie i poczułem się wolny, szczególnie że dostałem posadę w Instytucie Gospodarstwa Narodowego, którego szefem był sam Profesor Edward Lipiński.

Wróciłem do swojego pokoju w Instytucie, a tu nagle przychodzi do mnie jakiś pan i powiada, że zaprasza mnie do siebie dyrektor taki-i-taki z Ministerstwa Przemysłu. Zdziwiłem się niemało i poczułem, że coś jest nie tak, więc po drodze wstąpiłem do kolegi i na wszelki wypadek zostawiłem u niego złoty zegarek, który miałem od ojca. Już raz zegarek zabrali mi Niemcy...

I rzeczywiście. Pod bramą budynku czekał na mnie jakiś porucznik i stało auto. Zawieźli mnie na ulicę Koszykową do ministerstwa... całkiem innego.

Porucznik, który mnie aresztował, od razu przystąpił do przesłuchania. Ku memu zdumieniu zachowywał się w sposób nad wyraz cywilizowany, a przesłuchanie okazało się inteligentną rozmową. Nie poczułem więc do niego wrogości, raczej współczucie, bo pomyślałem, że gdyby nasza przedwojenna organizacja doszła do władzy, to ja bym mógł siedzieć na jego krześle, a on na moim... Po kilku latach zetknąłem się z nim znowu, na SGH – był asystentem i ja byłem asystentem, on

z czasem został profesorem, ja też. Wiktor Herer okazał się dobrym i solidnym ekonomistą, byliśmy z nim potem w dobrych stosunkach zawodowych.

Na razie jednak jesteśmy jeszcze w 1945 roku. Po paru tygodniach przewieziono mnie do więzienia mokotowskiego, gdzie prowadzono śledztwo i było już znacznie mniej sympatycznie. Najpierw siedziałem sam, potem dość długo z dwoma jeszcze panami. Był tam Władek Januszkiewicz, skoczek z Anglii – „cichociemny”, który opowiadał o swoich okupacyjnych przeżyciach, a drugi to był Stanisław Kaliciński strasznie gnębiony karcerem. Pojęcia nie mam, z jakiego powodu. Potem zabrali mnie do celi z byłym szefem akowskiego Kedywu Józefem Rybickim. Siedziałem też z b. mistrzem Francji w boksie w wadze lekkiej, ale też z ludźmi skazanymi na śmierć...

**DYBICZ: A o co chodziło w tej sprawie?**

SADOWSKI: O działalność w NSZ. Na końcu okazało się, że przygotowywano głośny wówczas, opisywany szeroko w prasie w 1946 roku, proces „13 studentów”. Kilku moich kolegów z ONR i ja naturalnie, zostaliśmy oskarżeni o próbę obalenia przemocą ustroju, co brzmiało ponuro. Ja byłem prezesem Bratniaka na SGH, kolega Linowski na Politechnice, Zaorski był wiceprezesem na medycynie. To już kazało bezpiecie podejrzewać, że jakaś *jaczejka* ONR opanowała Bratniaki i jest w tym tajny zamysł! Doczepili do tego jakichś ludzi, których w ogóle nie znałem. Głównym oskarżonym był Antoni Symonowicz, z profesji specjalista od gospodarki wodnej, który potem działał w tym charakterze jako znany ekspert i profesor.

**KOZŁOWSKI: Czy wyroki były surowe?**

SADOWSKI: Symonowicz dostał 10 lat. Ja miałem szczęście. Dostałem z przydziału adwokatkę, do której nie miałem cienia zaufania, bo wyglądała mi na kogoś z bezpieki, ale ostatecznie okazała się bardzo pomocna. Poprzez ówczesnego młodego dziennikarza piszącego sprawozdania z procesu dla „Gazety Ludowej”, Władysława Bartoszewskiego, znalazła świadka, działacza ONR, który wcześniej się ujawnił. Był wtedy współpracownikiem Bolesława Piaseckiego, miał więc niezłą pozycję i zgodził się zeznawać na moją korzyść. Ostatecznie po długich miesiącach siedzenia dostałem wyrok „dwa lata w zawiasach”. Dwóch nas dostało wyroki w zawieszeniu – ja i Jerzy Regulski, potem profesor dobrze zapisany w dziejach naszej reformy samorządowej.

**RATKOWSKI: Jak czuł się w tamtych strasznych czasach człowiek, który cudem wyszedł z kryminalu?**

SADOWSKI: Najpierw bardzo źle, bo dostałem cios w postaci wiadomości o śmierci ojca. Ale potem dość normalnie. Sprawa „13 studentów” była głośna, były jakieś protesty, nawet studentów czeskich, a koledzy nam mocno kibicowali. I oto profesor Lipiński zaproponował mi, żebym zostałem jego asystentem. Poczuję, że niebo się przede mną otwiera!

**DYBICZ: Profesor nie miał poczucia, że ryzykuje? Czy bezpieka się Pana czepiała?**

SADOWSKI: Co do profesora, to nie wiem, taki zresztą był. Odważny. A bezpieka przez parę lat czepiała się mnie, zapraszała kilkakrotnie na „rozmowy” i jak się niedawno okazało, IPN ma dowód, że nawet zapisali mnie jako TW. Ale po kilku spotkaniach zapra-

szuć przestali, a ja się tym zapisem nie zajmuję, bo wiem, że żadnym TW nie byłem.

**KOZŁOWSKI: I powoli wrastał Pan w nową rzeczywistość. Obywatelem stał się Pan w czasie wojny, a teraz stawał się ekonomistą.**

SADOWSKI: Ekonomistą stawałem się, gdy Lipiński zlecił mi asystenturę. To był ciekawy czas, okres Planu trzyletniego – lata 1946-49. Wiadomo było, że dominującą siłą jest PPR, jak to dość powszechnie wówczas określano „Płatne Pacholki Rosji”. I ja też wówczas zaliczałem się do tych, którzy do PPR-owców odczuwali żywą niechęć. Jednak wydawało się wówczas, że mamy ciągle jakiś margines swobody stanowienia swego nowego ustroju. Był to okres, kiedy nawet Gomułka stwierdzał, że budujemy ustrój kapitalistyczno-socjalistyczny, za co później niemal postawili go pod ścianą. Dominował PPR, ale PPS zachowywał samodzielność intelektualną i ta właśnie partia dysponowała wybitnymi kadrami. Był tam Lipiński, Lange, Bobrowski, Hochfeld, Żuławski. Byli też, najsilniejsi społecznym poparciem, ludowcy. Zdecydowanie opozycyjni...

**KOZŁOWSKI: A rząd londyński?**

SADOWSKI: No nie, nikt go poważnie nie traktował, szczególnie od chwili, gdy wrócił Mikołajczyk.

**DYBICZ: Od momentu powstania Rządu Tymczasowego sytuacja była jednoznaczna!**

SADOWSKI: Faktem jest, że Mikołajczyk wrócił do Warszawy w nimbie bohatera narodowego. Pamiętam, jak mieszkańcy stolicy, wtedy dość nieliczni, zebraли się wzdłuż Alei Jerozolimskich, żeby witać Mikołajczyka. Jechała kawalkada aut, a w pierwszym jakiś oficer pokazywał dwa palce, co miało oznaczać „drugi samochód”. A w drugim samochodzie stał jakiś facet i machał, ale to nie był Mikołajczyk, tylko Bierut! Mikołajczyk był gdzieś ukryty w środku kolumny, a Bierut przy tej okazji pozdrowiał społeczeństwo.

Takie to odbywały się wówczas podchody, ale dominowało przekonanie, że ciągle stanowimy o sobie sami, że dyskutujemy żywo, że ta dyskusja jest autentyczna: jaki to ma być ustrój, jak zbudować to wszystko. Trwało tak przez trzy pierwsze powojenne lata, choć mieliśmy przecież pewną ograniczoną wojnę domową.

**KOZŁOWSKI: I nie było jeszcze autocenzury? Dyskutowało się swobodnie?**

SADOWSKI: Nie wiem czy całkiem swobodnie, ale wychodziły różne gazety o bardzo odmiennych profilach ideologicznych i różnice między „Robotnikiem” a „Głosem Ludu” były aż nadto wyraźne. Owszem – Londyn już twierdził, że znaleźliśmy się pod nową okupacją, ale my tutaj mieliśmy poczucie, że zostaliśmy wyzwoleni i mamy swój kraj, który przede wszystkim trzeba odbudować. Wszyscy moi zwierzchnicy, wybitni ekonomiści, z którymi wówczas i potem współpracowałem, zabrali się rażno do roboty, i atmosfera była taka, że bez względu na to, jaki polityczny układ powstaje, to jest nasz kraj, i musimy robić wszystko, by podnieść go z gruzów.

**RATKOWSKI: A te gruzy w Warszawie widoczne były szczególnie!**

SADOWSKI: Właśnie, nie było więc żadnych wątpliwości co do konieczności konstruktywnego działania.

**RATKOWSKI: A potem był Plan sześcioletni. Pamiętam moje wrażenia z przedszkola: stanęła tam świąteczna choinka, cała obwieszona „szóstkami”!**



Fot. Filip Ratkowski

SADOWSKI: Plan sześcioletni miał być niejako dalszym ciągiem poprzedniego. Chodziło o budowanie podstaw nowej gospodarki i w pewien sposób nawiązywano do wylansowanego przed wojną hasła uprzemysłowienia kraju. Przecież przed wojną budowano Gdynię, COP, ale wtedy daleko nam było do prawdziwie wielkiego przemysłu. A tu się nagle formułuje wielki plan uprzemysłowienia – ogromnie ambitny i optymistyczny...

**KOZŁOWSKI: Jednak między jednym planem a drugim była „bitwa o handel”. Sygnał co najmniej niepokojący.**

SADOWSKI: To już była zapowiedź stalinizmu, czyli wejścia na drogę pełnej sowietyzacji. Poprzedziła ją toczona przez PPR na wielu frontach batalia z PPS, batalia, która się zakończyła porażką PPS – wykopaniem z rządowych stanowisk członków PPS – Lipińskiego, który do tamtej chwili był prezesem Banku Gospodarstwa Krajowego, Bobrowskiego, którego wysłano do Sztokholmu, i innych. PPR otwarcie przeszedł do wprowadzania sowieckiej koncepcji gospodarki, co było odczytane przez ekonomistów, także tych młodych, do których ja się wówczas zaliczałem, jako bardzo zły sygnał. Spór między ekonomistami formalnie dotyczył sposobu obliczania dochodu narodowego „z usługami, czy bez usług”, a faktycznie chodziło o strategię rozwoju.

Jednak Plan 6-letni zapowiadał się bardzo ciekawie i wyglądał na program zrównoważony. Niestety załamał się, w połowie z przyczyn politycznych. Wybuchła wojna koreańska, trzecia wojna światowa rzeczywiście wisiała w powietrzu i cały wysiłek ZSRR oraz krajów

satelickich został skierowany na zbrojenia. Po latach, kiedy pojechałem do Genewy, miałem sposobność brać udział w opracowywaniu pod auspicjami ONZ oceny Planu sześcioletniego, z której jasno wynikało jak destrukcyjną rolę odegrały tamte konflikty.

**RATKOWSKI: Kiedy powstaje plan, tworzą go w założeniach politycy, ale formułują ekonomiści. Czy ekonomista ma poczucie, że jest demurkiem gospodarki? Wrażenie, że coś stwarza?**

SADOWSKI: Niewątpliwie. Taki nastrój panował wówczas, ale równocześnie w środowiskach ukształtowanych przez przedwojenną polską myśl ekonomiczną zaznaczało się przekonanie, że to nie jest to, o co chodzi. Że błędem jest stawianie wszystkiego na przemysł ciężki.

**KOZŁOWSKI: Minc miał wówczas powiedzieć, że „nie będziemy oddawać guzików”. To było przecież echo katastrofy wojennej, odwołanie się do głęboko zinternalizowanego poczucia wrześnieowej klęski.**

**DYBICZ: Ale Plan 6-letni to był także element programu zmiany struktury społecznej.**

SADOWSKI: Oczywiście, tak. Ta struktura zmieniła się już w okresie Planu 3-letniego, bo masy ludzi ze wsi ruszyły do wyludnionych i zrujnowanych miast, do Warszawy, ale i na Ziemię Zachodnie, jednak wielki zwrot nastąpił w 1949 roku... Zaczął się okres stalinizmu.

**KOZŁOWSKI: Profesor Bobrowski powiedział mi kiedyś, że i Planowi 3-letniemu, ale w nie mniejszym stopniu 6-letniemu towarzyszyło przeświadczenie, „że w Polsce już nie będzie wiejskiej nędzy”.**

SADOWSKI: I rzeczywiście, to nastąpiło. Plaga gospodarki polskiej, czyli utajone, wiejskie bezrobocie, została zlikwidowana. Powstała szeroka warstwa chłopo-robotników, która przyniosła wsi postęp cywilizacyjny.

**RATKOWSKI: Co paradoksalne, wbrew nadziejom rządzących przyczyniła się do wzmocnienia na wsi gospodarki indywidualnej, bo pojawiało się alternatywne źródło utrzymania. To także jedna z przyczyn dzisiejszych kłopotów i trwającego ciągle rozdrobienia gospodarstw.**

**DYBICZ: W tym czasie następuje też prawdziwy skok edukacyjny.**

SADOWSKI: Widać to było na wsi, ale też w naszej Szkole Głównej Handlowej, przekształcanej właśnie – to nie tylko zmiana nazwy, ale i głównej idei – w Szkołę Główną Planowania i Statystyki. Przełom 1949 i 1950 roku to napływ młodzieży chłopskiej, może kiepsko przygotowanej, ale w większości ogromnie pracowitej i żadnej wiedzy. Pamiętam wielu ówczesnych studentów. Wspomnę jednego, bardzo solidnego, niewątpliwie chłopskiego pochodzenia. Wpadł do mnie do domu, co mnie nieco zaskoczyło, ale zapraszam go do środka, a ten z pewnym wahaniem powiada: „Mam do pana pytanie: Czy ten Stalin to naprawdę jest taki mądry?”

**KOZŁOWSKI: No tak, pytanie w owym czasie z gatunku kluczowych!**

SADOWSKI: W pierwszej chwili pomyślałem, że może to być prowokacja, ale skończyło się na długiej rozmowie, z której wynikało, że chłopiec miał prawdziwe wątpliwości. Wpadało je podtrzymać, ale tłumacząc, że chwilowo nie należy ich ujawniać.

Ja zostałem z SGPiS po pewnym czasie wyrzucony, ale że kadry przygotowanej brakowało, dostałem pracę na Uniwersytecie Warszawskim. Najpierw zresztą na Wydziale Dziennikarstwa.

**KOZŁOWSKI: A jeśli zechciałby Pan na gospodarkę tego okresu spojrzeć z pewnej perspektywy...**

SADOWSKI: Jedną z ważniejszych prac, jakie zrobiłem, była wspomniana już analiza tamtego okresu, przygotowana w Genewie pod przewodnictwem Wacława Micuty, który był wówczas najznacniejszą polską postacią w tym środowisku, skądinąd znanego z powstania z piosenki o poruczniku Wacku.

W Genewie znalazłem się po październikowym przełomie wysłany przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne na staż naukowy do Europejskiej Komisji Gospodarczej przy ONZ. A kierował nią wybitny szwedzki ekonomista, potem noblista, Gunnar Myrdal. I właśnie tam z Micutą analizowaliśmy Plan 6-letni i zgodnie doszliśmy do wniosku, że koncepcja była bardzo ciekawa, obiecująca. Załamanie przyszło w wyniku wojny, a kompletna zmiana kierunku wypaczyła jego ideę. I paradoksalnie – tamto załamanie dało powód do rozpoczęcia w 1957 roku pierwszej w Polsce głębokiej i poważnej dyskusji nad reformą systemową.

**RATKOWSKI: A sam plan skończył się wydarzeniami poznańskiego czerwca i to chyba najlepsze podsumowanie Planu 6-letniego.**

**KOZŁOWSKI: Objawił się wtedy skrajny brak równowagi.**

SADOWSKI: Ten brak równowagi miał potem cechować cały okres PRL. Właśnie ta nierównowaga nie pozwalała realizować aspiracji społeczeństwa w sferze

konsumpcji. To zresztą bardzo wyraźnie ujawniło się już w okresie października'56 w hasłach Naczelnej Organizacji Technicznej: „Nie wolno pozwalać, żeby wszyscy byli w nędzy”!, choć w całym okresie PRL nędzy w literalnym rozumieniu nie było, bo i nie było bezrobocia. Była jednak ogólna niewydolność, niesprawność i mieliśmy tysiące przykładów czegoś, co nazwano „gospodarką niedoboru”.

**RATKOWSKI: I różne jej konsekwencje: trwające całe dni kolejki po meble, „dojścia”, „załatwianie”... Każdy sprzedawca stawał się ważnym „urzędnikiem dystrybucji towarów”.**

SADOWSKI: Pamiętam, jak to na warszawskim osiedlu Za Żelazną Bramą w zimie pojawiało się dziwne zjawisko – łazienki wylewały z powrotem wodę. Okazało się, że rurki były za wąskie, bo z powodu „przejściowych niedoborów” stalowe zastąpiono cementowymi, które z zewnątrz miały ten sam obwód, ale w środku – mniejszy!

**KOZŁOWSKI: Ale to już były lata sześćdziesiąte. Wróćmy do Października i hasła reformy.**

SADOWSKI: Przyszedł rok 1956 roku, bardzo pamiętny. Wyraziście zapisał się wówczas prof. Lipiński, a ja byłem przecież w gronie jego współpracowników, pojawiałem się też często w Klubie Krzywego Koła. Poznałem wówczas m.in. Bronisława Geremka, który zrobił na mnie bardzo korzystne wrażenie.

Także od naszej profesjonalnej strony działały się rzeczy ważne, bo wydawało się, że mamy szansę na gruntowną reformę systemu. Koryfeusze – właśnie Lange i Lipiński – podchodzili do sprawy dość oględnie, lansowali autonomizację przedsiębiorstw w dziedzinie realizacji zadań stawianych przez plan centralny. Okazało się szybko, że tak się nie da zrobić, bo nie można pogodzić samodzielności ze sztywnym, odgórnym stanowionym, systemem cen, a więc i kosztów.

**RATKOWSKI: Ale już wtedy mówiło się o „modelu jugosłowiańskim”, który będzie potem wielokrotnie powracał. W dyskusjach tylko.**

SADOWSKI: Samorządność robotnicza, która – jak wydawało się nam wtedy – stanowiła podstawę tego systemu, była dla władzy czymś bardzo niepokojącym. Byłem w Jugosławii badać ten system, ale nie bardzo mi się to podobało. Odebrałem Jugosławię jako kraj „przegadany”. Tam odbywały się tysiące zebrań, na których tylko, jak byśmy to dziś powiedzieli, „bito się pianę”.

**RATKOWSKI: Mieliśmy taki zalew gadulstwa i u nas, w 1980 roku.**

**KOZŁOWSKI: Ale model jugosłowiański bardzo lansował Bobrowski, artykuł o tym systemie napisał wówczas Kalecki...**

SADOWSKI: To było, zgadzam się, interesujące zjawisko, które trochę pomogło nam w reformie lat 80. ale ostatecznie i to się nie sprawdziło!

**DYBICZ: Potrzeba zmian była oczywista, pojawiały się różne pomysły. Potem, w epoce Gierka tworzone np. wielkie organizacje gospodarcze – tzw. WOG-i, które przez swą wewnętrzną efektywność miały racjonalizować cały system gospodarczy. Ale czy przypadkiem nie rodziło się wśród ekonomistów podejrzenie, że gospodarki nakazowo-rozdzielczej reformować się po prostu nie da?**

SADOWSKI: Nie było takiego przeświadczenia wśród ludzi, którzy podjęli zadanie reformy. Bo idea reformowania się zmieniała. Początkowo wydawało się, że chodzi o istotną, ale bardzo ograniczoną korektę. To się nie sprawdziło i w tym sensie Pan ma rację. Ale w reformie lat 1980. chodziło już o zasadniczą zmianę systemu. Oczywiście, reżim nie był już tym, czym był wcześniej. Pozostał autorytarny, ale coraz dalej mu było do totalitaryzmu, a ideologia marksizmu-leninizmu nie odgrywała takiej roli jak przedtem, kiedy Stalina cytowano w każdej książce i w każdym artykule. Jednak związek między polityką i gospodarką był ciągle oczywisty. Cały czas ekonomiści mieli świadomość, że powinno się gospodarkę popychać w stronę efektywności. Już WOG-i były taką koncepcją reformy, która wyciągała konsekwencje z niezadawalających efektów reform końca lat 50. i 60. Skoro nie można było dać przedsiębiorstwom samodzielności w wykonywaniu zadań planowych, to uznano, że można ją zapewnić zjednoczeniom branżowym nazwanym WOG-ami. Tym razem jednak powstał od razu inny kłopot – oto te Wielkie Organizacje Gospodarcze stawały się po prostu monopolami wykorzystującymi swoje monopolistyczne pozycje bez troski o efektywność! Mocno trzymały swoje branże w rękę i nie pozwalały na żadne „rynkowe mrzonki”.

**RATKOWSKI: A czy nie ma Pan wrażenia, że przedsiębiorstwa choćby po to, by umocnić swoją pozycję, zaczęły może nawet podświadomie produkować „pod plan”. Po to, żeby korzystnie, poza rynkiem, wymieniać swoją szynkę na telewizory, ubrania na elektroluksy... Gdyby tego było dość na rynku, ich pozycja by malała!**

SADOWSKI: Przedsiębiorstwa musiały wykonywać zadania planowe. A gospodarka dalej pozostała nakazowo-rozdzielcza. Władza polityczna wierzyła w nakazy, a nie w wymianę rynkową. Wyciągnęliśmy z tego wnioski dopiero w latach 80., kiedy centralne planowanie zostało zniesione. To dopiero była wielka zmiana, której dziś nikt nie pamięta, bo została przestonięta stanem wojennym.

**KOZŁOWSKI: Czy ta permanentna „niepełność” naszych reform miała za przyczynę niedostatki intelektualne ekonomistów, czy bariery były na wewnątrz? W świecie polityki, w kraju, poza nim?**

SADOWSKI: Mieliśmy cały czas świadomość, że bariera polityczna zmuszała do utrzymywania centralnego planowania, które było doktryną obowiązującą w całym obozie. I dopiero w latach 80. po trosze dzięki stanowi wojennemu mogliśmy sobie powiedzieć: „A ucho! Zlikwidujemy obligatoryjne centralne planowanie, bo ono nie jest do niczego potrzebne”!

**KOZŁOWSKI: Ale to wszystko zmierzało do ograniczenia roli partii. Przynajmniej w sferze gospodarczej.**

SADOWSKI: Niewątpliwie, ale mnie to nie bolało. Tylko że głośne mówienie o tym było niewskazane, bo władze tej partii popierały wtedy reformę.

**DYBICZ: A czy gierkowscy technokraci też już nie osłabiali roli partii?**

SADOWSKI: Nie, wtedy komitety partyjne w przedsiębiorstwach i zjednoczeniach miały duże uprawnienia i wpływ na zarządzanie. Początkiem zmian stały się ustawy z października 1981 roku, które wprowadza-

ły dla przedsiębiorstw państwowych samodzielność i istotną rolę samorządu załogi. Komitety partyjne utraciły wiele ze swego znaczenia. Jednak w poszczególnych przedsiębiorstwach było różnie, praktyka zależała od konkretnego układu personalnego i zmieniała się powoli. Firmy ucieszyły się samodzielnością, ale do zasady samofinansowania nie mogły się łatwo przystosować. Dotąd pracowały przecież na podstawie cen i wskaźników stanowionych przez władze, a teraz zostały skazane same na siebie. To też prasa pisała ze zdumieniem, że oto ceny, np. tych samych kosmetyków w jednym sklepie są takie, a w innych inne! Jaki absurd! Jak żyć? Ludzie chcieli swobodnej gospodarki, ale bali się wprowadzanego rynku!

W przedsiębiorstwach kłopot polegał na tym, że dyrektor był uzależniony od trzech instancji – wewnątrz miał samorząd i komitet partyjny, z którym się musiał liczyć...

**RATKOWSKI: A także związek zawodowy „Solidarność”, który od początku usiłował wejść w buty PZPR! Do dziś niektóre komisje zakładowe urzędują w lokalach po partyjnych komitetach.**

SADOWSKI: To później. Wtedy był jeszcze jako trzecia siła tzw. organ założycielski, czyli ministerstwo. Relacja wzajemna między tymi instancjami układała się rozmaicie. Do realizatorów reformy należało wspieranie dyrektorów. Pamiętam w Sejmie wielką konferencję samorządową, na której wystąpiłem w rzadkiej dla siebie roli mówcy wiecowego. Tak pobudził mnie nastrój sali. Tłumaczyłem samorządowcom, że to oni są od podejmowania decyzji – nie komitety, nie organy założycielskie, ale samorządy! Nikt o to do mnie nie miał pretensji, bo w istocie nikt nie wiedział, co trzeba robić... Poza dwiema osobami – Baka był jedną, a ja drugą!

Miałem taką zabawną rozmowę z Urbanem, który jako rzecznik rządu zapytał mnie o jakieś rozwiązanie w tej dziedzinie. Odpowiedziałem, że to zależy od Biura Politycznego. Spojrzał na mnie „spod oka” i stwierdził: „Ależ będzie tak, jak pan powie”. Ale ani nie czułem się dyktatorem, ani nim nie byłem. Wiedzieć, to nie znaczy decydować.

**KOZŁOWSKI: Może szkoda? Ale nierównowagi gospodarczej pokonać się nie udało. Nieważne teraz, z jakiej przyczyny. Czy jednak ta nierównowaga to immanentna cecha systemu? Czy Kornai ma rację w swojej głośnej analizie *Gospodarka niedoboru*? Przecież aż takiej nierównowagi nie było na Węgrzech?**

SADOWSKI: Nasza Rada Ekonomiczna w końcu lat 50. opracowała pewną koncepcję reformy, dość łagodną jeszcze, ale istotną. Ale w Polsce nie była ona nigdy realizowana. Na Węgrzech Kadar ją przystosował do tamtych warunków...

**RATKOWSKI: Wynika z tego paradoksalnie, że dramatem polskiej reformy gospodarczej było to, iż Gomułka miał masowe poparcie społeczne i mógł się nie liczyć z trudnymi realiami. A Kadar, przyniesiony na bagnetach, tego poparcia nie miał i musiał je uzyskać przez „gulaszowy socjalizm”.**

SADOWSKI: Potem u Węgrów to się kompletnie zamroziło i dopiero w latach 80. oba kraje ruszyły w tę samą stronę. Pamiętam brytyjskiego dziennikarza, który próbował stawiać mi za wzór rozważaną wtedy na



Węgrzech ideę samorządności załóg, gdy u nas dawno już ona funkcjonowała. Z Węgrami byliśmy w ścisłym kontakcie, wielokrotnie omawialiśmy te sprawy i stąd wiem, że oni byli choćby w sprawie samorządów mniej zaawansowani.

**RATKOWSKI: Panie profesorze... Wychodzi z Pana niepoprawny socjalista! Miłość do samorządu robotniczego? Dzisiaj?**

SADOWSKI: Ba! Dzisiaj to są wspomnienia. Ale w tamtych czasach to odgrywało ogromną rolę. A socjaldemokratyzmu się nie wypieram.

**KOZŁOWSKI: Cóż, faktem jest, że wszystko co nie było opozycją i co nie było „Solidarnością”, było w tamtych czasach traktowane jako reżimowe.**

SADOWSKI: Pamiętam rozmowę z pewnym włoskim dziennikarzem, który po dłuższym wywiadzie na temat reformy gospodarczej powiedział: – To pan jest komunistą? – Nie, nie jestem komunistą – odpowiedziałem. – A dlaczego? – spytał...

**RATKOWSKI: I ja też pytam! Ale wróćmy jeszcze na moment do próby modernizacyjnej Gierka. Ważnej, dziś często wspominanej i to z sentymentem.**

SADOWSKI: Gierek objął władzę w sytuacji trudnej, w dodatku popełnił błąd na samym początku, bo wycofał się z podwyżki cen...

**DYBICZ: Czy mógł się nie wycofać?**

SADOWSKI: Powiedzmy o połowę? Mógł. To był błąd. Ważne, co działo się potem. Ruszył dalej z polityką gospodarczą opartą na fachowcach z Bożykiem na czele, w bardzo sprzyjającym okresie, bo wtedy stały się dostępne kredyty międzynarodowe. Aby pobudzić swoją gospodarkę, różne kraje starały się dawać kredyty na swoje wyroby, jak banki obecnie. Zaczęliśmy brać kredyty i to nie bez koncepcji! A koncepcja była dobra. Planowano kupowanie nowych technologii, które pozwolą na modernizację przemysłu. Dzięki temu rozwiniemy eksport, spłacimy kredyty i zostaniemy na najlepszym ze światów. Taka była koncepcja, której logikę wypada i należy bronić.

**KOZŁOWSKI: W dodatku przesunęlibyśmy zależności gospodarcze i polityczne ze Wschodu na Zachód.**

SADOWSKI: No właśnie. Radzieccy towarzysze od początku podejrzewali nas o takie intencje. Ale pojawił się problem. Nie doceniono sztywności systemu centralnego planowania, który nie umiał sobie poradzić z realizacją tej strategii. Okazało się, owszem, że technologie są kupowane, częściowo nawet wprowadzane w życie, ale tylko częściowo. I wiele mieliśmy przykładów potem, że maszyny leżały bezużytecznie...

**RATKOWSKI: Jak teraz niektóre nowoczesne urządzenia w szpitalach, bo kupiono je dlatego, że jakiś dyrektor dostał w łapę. I były też dziesiątki nietrafionych zakupów, jak sławna fabryka tarcz telefonicznych dla Radomia, gdy cały świat przechodził na przyciski, albo koncepcja zakupu fabryk chleba, po skandalu w Warszawie, gdy pieczywa w sobotę zabrakło i rozwścieczeni warszawiacy dzwonili do pani Stasi: – Jak ten twój Edek rządzi?!**

SADOWSKI: Inny przykład to proszki do prania oparte na siarczanie sodu. Mieliśmy go i mamy mnóstwo, ale jego jakość była nie tak dobra, więc trzeba było importować...

**RATKOWSKI: Dziś coś podobnego robią Chiny importując nie technologie, ale całe firmy. Czy Gierek nie mógł zaryzykować takiego kroku? Wtedy ryzyko byłoby po stronie kapitału zagranicznego.**

SADOWSKI: Przyznam, że nie wiem. Ale proszę zauważyć, że to było blisko pół wieku temu, i że byliśmy wtedy mocno osadzeni w systemie sowieckim. Chińczycy wystartowali znacznie później, nader ostrożnie w swoich specjalnych strefach i wiem, że pilnie studiowali nasze doświadczenia. A myśmy zaczęli od nieśmiałego sprowadzania kapitału polonijnego.

U nas rozwijający się przemysł, modernizowany na zachodnich technologiach, wygenerował zamiast eksportu ogromny wzrost importu.

**KOZŁOWSKI: A czy była jakaś szansa, czy ta droga od początku była skazana na porażkę? A może to był, jak sądzi dziś wielu zwolenników spiskowych teorii, celowy krok Zachodu do obalenia systemu socjalistycznego?**

SADOWSKI: Spiskowych teorii staram się unikać, ale faktem jest, że na kredyty rzuciliśmy się w owym czasie bez umiaru, że użyję przedwojennego określenia „jak chamy na lody pingwin”. Dość wcześniej obserwatorzy i analitycy zaczęli ostrzegać przez życiem na kredyt i nawet sam zrobiłem odpowiednie obliczenia, z których wynikało, że nastąpi spadek dochodu narodowego. Trudno było w to uwierzyć, sam w to nie wierzyłem, wezwałem współpracowników, żebyśmy razem poszukali błędu. Błędu nie było!

**KOZŁOWSKI: Miałem potem bliski kontakt z Bobrowskim, a i z Panem, i pamiętam, że nie tylko ostrzegaliście przed kryzysem, ale i przed pułapką zadłużeniową, z której nie uda się wyjść.**

SADOWSKI: Pułapka była bardzo groźna, ale zostawiała szansę wyjścia. Można było negocjować ulgi. Ale przycisnęło nas to bardzo.

**DYBICZ: A co mówili ekonomiści wówczas bliscy władzy?**

SADOWSKI: Ogromnie trudno było dotrzeć z ostrzeżeniami do władzy, a jej ekonomiści nie widzieli tego, nie wierzyli! Próbowano wykorzystać do sformułowania ostrzeżeń Komitet Polska 2000 Polskiej Akademii Nauk, a także konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość.

**RATKOWSKI: Co z tego, kiedy rządzący czuli się demiurgami! Jak Hilary Minc.**

SADOWSKI: Bronili Gierka, postaci, strategii, kierunku...

**DYBICZ: Nie rozumieli, co się dzieje i stąd ich pierwotna polityka – damy po 2 tysiące podwyżki i będzie spokój?**

SADOWSKI: Akurat jakoś wtedy zaprosił mnie ambasador Szwecji na kolację, i pyta, co się dzieje w Lublinie, a ja nie miałem pojęcia, co się dzieje. A tam właśnie zaczęły się pierwsze akcje robotnicze. Zachodni dyplomaci bardzo pilnie śledzili rozwój sytuacji u nas i przewidywali, co się może stać. W końcu tu były ich pieniądze.

**KOZŁOWSKI: Strajki zawsze były w PRL tradycyjnym, sprawdzonym mechanizmem zmiany politycznej.**

SADOWSKI: Pod warunkiem, że podpalono kilka komitetów – wtedy zmieniał się pierwszy sekretarz.

**RATKOWSKI:** Po takiej zmianie mieliśmy okres uspokojenia i znowu, mniej więcej po dwóch kolejnych zjazdach PZPR zaczynało się od nowa. To szeroko dyskutowany kiedyś problem systemu, który sam generuje kryzysy.

**SADOWSKI:** A po porozumieniach sierpniowych wyglądało na to, że znów wchodzimy w tę samą spiralę, bo tak jak Gierek wycofał się z podwyżek cen, tak po Sierpniu zdarzyło się coś, co w historii świata było bez precedensu – przy istotnym spadku produkcji nastąpił znaczny wzrost płac! Wywalczona przez strajki powszechna podwyżka, „wałęsówka” wynosiła 25 proc. zarobków! I tu trzeba uprzytomnić współczesnym czytelnikom, że prywatny, drobny przemysł i rzemiosło to był wówczas margines, więc podwyżki objęły właściwie całe społeczeństwo.

Pamiętam, jak przyszedł do mnie człowiek z kręgu ówczesnej, rodzącej się opozycji, z KiK-u i z kręgów kościelnych, Andrzej Wielowiejski i powiedział „Mój szef chciałby się z panem spotkać”. Nie od razu zrozumiałem, o kim mowa, ale po chwili okazało się, że chodziło o Wałęsę. Oczywiście wyraziłem gotowość. Powstał jednak problem, gdzie to spotkanie ma się odbyć. Byłem wtedy postacią oficjalną, szefem Komisji Planowania, więc zaproponowałem lokal Polskiemu Towarzystwu Ekonomicznemu, miejsce neutralne. Oni zaproponowali kościół i do spotkania nie doszło.

**DYBICZ:** Nie lubiąc PZPR przyjmuje Pan w istocie partyjną postawę.

**SADOWSKI:** O nie. To nie była postawa „partyjna”, to była postawa lekarza, którego wezwano do pacjenta i on ma go leczyć nie pytając jak się nazywa! I taka była moja postawa od samego początku, wynikająca nie tylko z moich własnych doświadczeń, ale i z tego, że wszyscy moi przywódcy intelektualni przed dziesiątkami lat tak właśnie zareagowali na koniec okupacji niemieckiej, na początek PRL i zajęli się tym „prypadkiem” z całą energią. I nieważne teraz, że ostatecznie odsunęto ich od łóża chorego...

**DYBICZ:** Czy od razu nie było wiadomo, że ta choroba jest śmiertelna? Pacjent nie tylko miał tę zwykłą, ekonomiczną chorobę, ale w dodatku zapalenie płuc w postaci „Solidarności”!

**SADOWSKI:** Wszyscy widzieliśmy po kolejnych kryzysach, że ten chory chce, żeby go leczyć, i rusza się całkiem żwawo. Poza nim, poza PZPR, były jeszcze miliony ludzi w jakiś sposób od tego chorego uzależnionych. Zresztą wiem, że Jaruzelski, z którym spośród przywódców partyjnych kontakty miałem najbliższe, chciał reformy.

Już w okresie, kiedy blisko władzy był Baka, wiedziałem, że dyskusja o gospodarce jest serio. Zresztą Baka był kiedyś moim studentem i znaliśmy się niezłe. Potem, gdy zaproponowano mi stanowisko wicepremiera i przygotowanie drugiego etapu reformy, zabrałem się do tego bardzo poważnie. Powstał program, z którego byłem dumny. Wszystkie punkty, a było ich około 150, miały swoje terminy realizacji i szczegółowe opracowania. Postanowiliśmy, że będziemy informować prasę o realizacji tych kolejnych kroków po to między innymi, żeby cały aparat mobilizować i żeby zapewnić rodzaj społecznego nadzoru czy nacisku na realizację reformy. To zostało całkowicie wykopane

na aut przez ludzi Rakowskiego, ale takie było zamierzenie.

Kiedy dokument powstał, posłałem go generałowi Jaruzelskiemu i ten wezwał mnie po kilku dniach, chyba na godzinę 22. Wszyscy padali na nosy, a on się wtedy rozkręcał... Kiedy się zjawiłem, miał przed sobą ten dokument, jak ze zdumieniem zauważyłem, cały pokreślony notatkami. Dosłownie cały, a tego było ponad 150 stron. Zaczęła się rozmowa i z najwyższym uznaniem stwierdziłem, że tyle energii włożył w rozpoznawanie nietrywnych problemów gospodarczych. Siedzieliśmy do czwartej rano i dokument się obronił. Przynajmniej przed Jaruzelskim.

**DYBICZ:** Ale nie przed „Solidarnością”, która już wtedy rozdawała karty.

**SADOWSKI:** Myślę, że kręgi „solidarnościowe” nawet nie próbowały go analizować. Ja zresztą popełniłem poważny błąd. Jedną z części reformy była reforma cenowo-dochodowa, mniej więcej to, co potem zrobił Balcerowicz nie pytając nikogo o zgodę. Myśmy mieli bardzo dokładnie rozpisaną reformę i to musiało być przedmiotem niepokoju. Rakowski wymyślił więc referendum, które miało być przygotowane tak, żeby dokładnie wyjaśnić społeczeństwu o co tu chodzi i jak to będzie przebiegało. Przyznam się, byłem przeciwny referendum, bo uważałem intuicyjnie, że to nie pomoże, ale rozumiałem argument, że nie można zaskoczyć społeczeństwa podwyżką cen, bo znowu ludzie wyjdą na ulicę. I pamiętam, że jeden z sekretarzy KC przekonał mnie ostatecznie do tej sprawy.

Przygotowaliśmy bardzo proste wyjaśnienia całego problemu, które powinno dotrzeć do każdego. Było powiedziane, że przed nami trzy trudne lata i dokładnie wyłuszczone dla kogo będzie to trudniejsze, a dla kogo mniej trudne. Wszystko to było opisane precyzyjnie i bardzo przejrzysto. Ustąpiłem nie zdając sobie sprawy, że przepisy o referendum wymagają co najmniej 50 proc. uprawnionych do głosowania, a przekroczenie tego progu było niemożliwe! To był nieosiągalny w praktyce przepis wprowadzony za czasów Gierka w obawie przed tym, że referendum może obalić władzę PZPR. Co gorsza, nie wiedział też tego Generał.

**KOZŁOWSKI:** Ale w tej ekipie ktoś powinien to wiedzieć.

**SADOWSKI:** Jaruzelskiego poinformowano *post factum*! I było już za późno. Wynik w zasadzie kapitalny: 12 milionów głosujących „za”, a 5 „przeciw”, jednak brakło frekwencji i Rakowski od razu ogłosił klęskę referendum. No cóż, chciał zostać jak najprędzej premierem. Niestety. Bywają takie sytuacje.

Klęska referendum była jednak jeszcze głębsza, czego rzeczywiście nie wziąłem pod uwagę. Oto gdy się mówi o możliwości podwyżek cen i w dodatku poddaje się to pod referendum, to ludzie zaczynają wykupywać wszystko, co jest w sklepach. Ruszył nagły run na rynek i w efekcie zwyciężyła teza, że trzeba podwyżkę cen „zrekompensować”. Dziś, gdy patrzę na tę sytuację, wiem, że powinienem był zrezygnować wówczas ze stanowiska. Ale czasy były inne i wydawało mi się, że nie mogę rejterować z placu boju. Zostałem, i to było niepotrzebne.

**DYBICZ:** I co z tego programu, przygotowanego przez Pana i Pański zespół, przejęła ekipa Rakowskiego i Wilczka?

SADOWSKI: Reforma była kontynuowana i dwie koncepcje, które przygotowałem, a potem ustępując wręczyłem Rakowskiemu bardzo się, jak widziałem potem, przydały. Nastąpiła programowana przez nas likwidacja systemu kartkowego rozdzielnictwa mięsa, a po drugie reforma systemu bankowego. Rakowski zresztą od razu powiedział, że zamierza to zdyskontować jako osiągnięcie swojego rządu. Jak powiedział, tak zrobił. Natomiast co mnie ubodło to fakt, że przypisał nie tyle sobie, ile Wilczkowi bardzo ważną ustawę o swobodzie gospodarczej, z którą wcześniej wystąpił Messner. To nasz zespół przygotował Messnerowi hasło, że „co nie jest zabronione – jest dozwolone”, co było teżą rewolucyjną, choć z prawnego punktu widzenia dość wątpliwą, bo nie można tak działać. Jednak wówczas wydawało się to bardzo korzystne.

Teza znana dziś jako teza Wilczka była wcześniej w Sejmie, ale niepotrzebnie do projektu wstawiono wówczas punkt o swobodzie zrzeszania się przedsiębiorstw. Pamiętam, że tuż przed postawieniem jej na forum publicznym, w nocy zadzwonił do mnie Tadeusz Witold Młyńczak, wówczas szef Stronnictwa Demokratycznego reprezentującego interesy rzemiosła, a raczej izb rzemieślniczych. Tłumaczył, że wraz z wprowadzeniem takich przepisów upadną izby, a wraz z nimi całe rzemiosło. Tłumaczyłem mu, że jeśli izby są rzeczywiście potrzebne, to rzemieślnicy i tak będą się w nich zrzeszali, ale dowiedziałem się, że nie można tak stawić sprawy.

Zrodziło się wokół tego wielkie napięcie i ustawa została wstrzymana, a potem Wilczek wyrzucił ten cały rozdział. To akurat było moim zdaniem słuszne, bo te sprawy powinny być rozpatrywane rozdzielnie, ale ja wiem to *ex post*.

**KOZŁOWSKI: Wypada więc teraz zapytać o sprawę chyba najważniejszą. Nigdy nie należał Pan do PZPR, był – wprawdzie przed wojną i w dzieciństwie – ale jednak na drugim biegunie sceny politycznej, siedział Pan w kryminale, nigdy nie był związany z partią, a nawet wręcz przeciwnie, i oto znajduje się Pan we władzach państwowych. Zgoda, że na etacie „lekarza”, ale czy nie był to jakiś paradoks? Absurd czy fragment czegoś, co możemy nazwać „polskim losem”?**

SADOWSKI: Herrer, który w początkach PRL był w UB i przesłuchiwał mnie na Koszykowej, w czasach, o których mówimy, wstąpił do „Solidarności” i kiedy zdarzało nam się spotykać, mieliśmy okazję do żartów. Nigdy nie było między nami wrogości, bo każdy z nas działał, jak umiał najlepiej dla dobra kraju. Teraz on chodził po kościołach, a ja jako wicepremier po partyjnych komitetach. – Wie pan co? – mówił Herrer. – Powinniśmy nagrać w telewizji rozmowę o polskich drogach, bo to rzeczywiście dziwne.

Okres festiwalu „Solidarności”, a potem stan wojenny, to była niezwykła epoka, pełna paradoksów. Pamiętam jednego z ważnych profesorów, który zresztą był wysunięty przez „Solidarność” na szefa instytutu, w którym wówczas pracowałem, a który był w Łodzi działaczem „Solidarności”, zaś w Warszawie działaczem partyjnym.

Najdziwniejszym dla mnie przeżyciem było pierwsze zaproszenie na posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR. Samo wejście do „Białego Domu” już było

przeżyciem, bo gmach KC utrwalił się w mojej świadomości jako swego rodzaju forteca. Może nawet „wroga forteca”, a tu nagle zacząłem uczęszczać do tego „Białego Domu” co parę dni, by spotykać się z różnymi ludźmi. Potem wreszcie zaprosili mnie na Biuro Polityczne!

**RATKOWSKI: Podobno nudne były te posiedzenia?**

SADOWSKI: Gdy patrzę na to z punktu widzenia ekonomisty, to atmosfera była dość szczególna. Siedziało tam kilku zakapiorów, takich partyjnych betoniarzy, ale oni nie wychylali się i nie mówili właściwie nic. Widać było, że mają wszystko wszystkim za złe, ale wiedzieli, że pierwszy sekretarz, Jaruzelski popiera reformę, więc co mieli mówić? W każdym razie atmosfera była napięta. Był reprezentant ZSL, czyli marszałek sejmu Roman Malinowski, który zawsze zabierał głos, ale ograniczał się do uwag, że z analizy dochodu narodowego wynika, iż dochód rolnictwa spada w porównaniu do przypadającego na nie paritetu, więc powinno się sytuację rolników poprawić. Ten głos zresztą odgrywał poważną rolę. W sprawach gospodarczych miałem oczywiście swoje zdanie, ale czekałem najpierw, co powie premier Messner. Premier jednak miał to do siebie, że nic nie mówił. Więc mówiłem ja z reguły coś, co spotykało się z miernym zainteresowaniem.

Pamiętam jedno drobne wydarzenie. Oto w jakimś momencie nie wytrzymałem i powiedziałem, że pora skończyć wreszcie z określeniem „sektor nieuspołeczniony”, i nazwać go właściwą nazwą „sektor prywatny”. Zapadła martwa cisza, jedna z tych „martwych ciszy”, o jakich wspomina literatura... Już wiedziałem, że popełniłem błąd. Niewybaczalny, jak puszczenie bąka w salonie.

**DYBICZ: Ale były tam także przynajmniej dwie inne, niekonwencjonalne postacie – Urban, Główny...**

SADOWSKI: Nie, Urbana tam nie spotykałem. Główny siedział ciągle zapatrzony w swoje statystyki i dowodził jakichś swoich racji, ale nie był bardzo wyrazisty, Nie popierał nas specjalnie, ale też nie przeszkadzał reformie.

**RATKOWSKI: Był okres, kiedy jego „Życie Gospodarcze” było ciekawsze od „Polityki”. Czytałem je namiętnie i potem niemiło zaskoczył mnie jego konserwatyzm, gdy został sekretarzem ekonomicznym Komitetu Centralnego.**

SADOWSKI: Mam wrażenie, że on miał głębokie poczucie, że owszem, reformę trzeba robić, ale tak, żeby partia na tym nie ucierpiała. Miał więc duszę rozdarta w tym względzie, ale reformy nie zwalczał, tylko dbał o interes PZPR. Generalnie „na Biurze” atmosfera była sprzyjająca reformie, ale z takim poczuciem, że jest to ważne, jednak lepiej, by robili to inni ludzie. Nie oni!

**DYBICZ: A więc lepiej było oddać władzę?**

SADOWSKI: No nie. Rakowski chciał to robić i posłużył się do tego Sekułą. Sekuła to była szczególna postać, psycholog z wykształcenia, co mu pomagało. Był najpierw prezesem ZUS, a potem wszedł do rządu jako minister pracy i opieki społecznej. W tym charakterze zapraszano go na „ekonomiczne” posiedzenia Biura. Dał się wcześniej poznać w sferach rządowych



Fot. Filip Ratkowski

jako człowiek, który tworzy tak zwaną „pułapkę Sekuły”. Przemawiał w taki sposób, że stwarzał wrażenie, iż oto nareszcie jest człowiek, który wie, co należy zrobić. Był w tym świetny. My, którzy znaliśmy i jego, i problematykę, dobrze wiedzieliśmy, że on nie ma pojęcia, co należy zrobić, ale był przekonujący. W trakcie posiedzeń Biura Politycznego siadywałem z reguły obok innego wicepremiera, Zbigniewa Szałajdy. To był taki sympatyczny inżynier ze Śląska, z początku bardzo niechętny wobec reformy, ale w końcu dał się przekonać i pozostawaliśmy w dobrych stosunkach. Komentowaliśmy niekiedy różne wypowiedzi i zdarzało nam się pośmiać, co Generał kwitował nader niechętnie – jak nauczyciel śmiechy w klasie. Ale kiedyś, jak Sekuła wystąpił ze swoim typowym przemówieniem wobec Generała, Szałajda szepnął mi, że oto mamy następnego wicepremiera! I tak się stało.

**DYBICZ: A gra toczyła się ciągle wokół miejsca partii w gospodarce...**

SADOWSKI: To był delikatny problem, choć po stanie wojennym PZPR była już poważnie osłabiona. Nigdy oczywiście nie podkreślałem, że należy partię wycofać z zakładu pracy, ale reforma, o której mówiłem szczegółowo, nie przewidywała dla niej w zakładach żadnej roli. Co inteligentniejsi partyjni działacze, także ci „twardogłowi” zdawali sobie z tego sprawę. Miałem zresztą ciekawe spotkanie na Śląsku, dotyczące przemysłu węglowego. Wtedy jeszcze byłem zastępcą Baki. Kopalniami rządził minister górnictwa, gen. Piotrowski i miał swojego zastępcę, Głanowskiego. Obaj robili wszystko, żeby ograniczyć zasięg reformy w tej dziedzinie.

**RATKOWSKI: Trudno zresztą wymagać od wojskowego, żeby wierzył w coś, co nie jest rozkazem!**

SADOWSKI: Pewnego dnia zadzwonił u mnie, chyba po raz pierwszy, specjalny telefon rządowy, który miałem na biurku. – Mówi generał Piotrowski – usłyszałem. – Profesorze, co wy nam chcecie zrobić? – powiedział i zaczął zjeżdżać reformę od początku do końca. Ja się nie poddawałem, więc ostatecznie zaproponował: – Pojedźcie na Śląsk, spotkajcie się z dyrektorami kopalń, to zobaczycie, jak to jest.

Pojechałem do Katowic, gdzie zorganizowane zostało wielkie spotkanie dyrektorów kopalń i zjednoczeń. Ja powiedziałem swoje, minister Głanowski swoje, a potem była tak zwana dyskusja. Zabierali głos po kolei dyrektorzy i mówili na jedną nutę: górnictwa nie ruszać! Mocno straszili załamaniem wydobycia, eksportu, gospodarczą zapaścią, słowem – wszystkim. W końcu wystąpił jeden i powiada: – Myśmy tu wczoraj z ministrem Głanowskim omawiali te sprawy... Prawdopodobnie się znalazł.

**RATKOWSKI: Zupa się wylała! W takiej sytuacji trudno było przekonać panów dyrektorów.**

SADOWSKI: No i w ustawie o samorządzie przedsiębiorstw pojawiła się koncepcja „przedsiębiorstw szczególnego znaczenia”. Wszystkie kopalnie zostały poddane temu innemu „szczególnemu” trybowi.

**KOZŁOWSKI: Pomijamy tu cały czas ważny wątek, czyli relacje ze światem. A przecież Polska była już ogromnie zadłużona.**

SADOWSKI: Zachodni partnerzy traktowali mnie zyczliwie, nawet powiedziałbym, niebezpiecznie

życzliwie. Po jakimś moim odczycie w Szwajcarii, przysłano mi wycinek z gazety, która tłustymi czcionkami donosiła, że „Sadowski chce wprowadzić kapitalizm do Polski”. Tak dalekich ambicji nie miałem, chciałem kapitału i gospodarki rynkowej, ale miałem trochę kłopotu, zanim wyjaśniłem to moim kolegom z rządu. Pamiętam dobre przyjęcie w Austrii, Wielkiej Brytanii...

**DYBICZ: A w krajach „demokracji ludowej”?**

**SADOWSKI:** Węgry robili niemal taką samą reformę, więc rozumieliśmy się dobrze, choć długo jeszcze nie chcieli godzić się na prywatne inwestycje. Pamiętam rozmowę z czechosłowackim premierem Strougalem, który był bardzo podejrzliwie nastawiony do reformy i dopytywał się szczególnie, czy partia nie utraci w jej wyniku swojej pozycji. Miałem doświadczenie z takimi rozmówcami w Polsce, więc nie było mi trudno. Inna rzecz, że jakiś czas później, na posiedzeniu delegatów RWPG powiedział mniej więcej tak: „Towarzysze! Popatrzcie na kraje zachodniej Europy. U nich jest dobrze, a u nas nie. Dlaczego? Bo oni mają kapitalizm!”

**KOZŁOWSKI: A Rumunia?**

**SADOWSKI:** Zależy, o jakich spotkaniach mówimy, na jakim szczeblu. Ceausescu, z którym spotkaliśmy się w Warszawie, był kompletnie niekomunikatywny, natomiast rumuńscy działacze niższego szczebla byli ogromnie chłonni i powiadali, że patrzą z dużym zainteresowaniem na to, co my robimy. Ciekawe spotkania miałem też w NRD. Przyjmował mnie wicepremier o polskim nazwisku, Nowakowski ....

**DYBICZ: Jak u nas może być Miller, to tam może być Nowakowski.**

**SADOWSKI:** No właśnie. A z Nowakowskim spotkanie było całkiem udane. Bardzo różnie rozmawiało się z Rosjanami. Mieliśmy, pamiętam, spotkanie z przedstawicielami Gosplanu, którzy siedzieli u nas dość długo. Rozmawialiśmy z nimi o różnych rzeczach i różnych aspektach reformy. I tak jak z początku byli ogromnie sceptyczni, wręcz niechętni czy zgoła wrody, to wyjeżdżali w znacznie lepszym nastroju. Potem przyjechał Gorbaczow i Jaruzelski specjalnie przygotowany przez Bakę wprowadzał go szczegółowo w sprawy reformy. Jak nam mówiono, Gorbaczow wyjeżdżał w nastroju bardzo dobrym i potem zaczął swoją *perestrojkę*. Tu mi się przypomina poseł Bender, który jeszcze w sejmie peerelowskim, właśnie w tym okresie zaawansowanej reformy gorąco zachęcał nas, żebyśmy się wzorowali na Związku Radzieckim”, gdzie wtedy zaczynała się *perestrojka*...

**DYBICZ: Stan wojenny możemy sobie chyba darować, bo w gospodarce nic optymistycznego się wówczas nie działo, natomiast może przeskoczmy od razu do reformy Balcerowicza. Czy ona musiała tak wyglądać, jak wyglądała?**

**SADOWSKI:** Najpierw przypomnę, że w okresie obowiązywania stanu wojennego, w roku 1982 nastąpiło ustawowe zniesienie obligatoryjnego planowania centralnego, więc się działo w gospodarce. Natomiast odpowiedź na Pana pytanie z punktu widzenia intelektualnego czy modelowego będzie brzmiała: „Nie”. Można było to zrobić inaczej, były inne możliwości, żeby do podobnych efektów dojść spokojniej, bez takiego ataku na stopę życiową obywateli. To zresztą nie tyl-

ko moje zdanie. Nawet na jakiejś naradzie w Brukseli zorganizowanej pod auspicjami NATO pojawił się podobny głos reprezentanta USA, który też był zdania, że można to było przeprowadzić spokojniej. Natomiast z punktu widzenia realiów społeczno-politycznych, odpowiedź będzie brzmiała: „Tak”, bo nie było alternatywy. Społeczeństwo uwierzyło Balcerowiczowi, że po trzech miesiącach czy choćby po pół roku będzie lepiej, a gdyby nawet nie uwierzyło, to tak było spragnione zmiany władzy, że na tej fali można było zrobić wszystko. Przemiana polityczna została przyjęta euforycznie i ludzie byli gotowi za to zapłacić. I bardzo dobrze, że Balcerowicz to zrobił.

Trzeba przede wszystkim zauważyć, że udało się wówczas wykreować prawdziwy pieniądz, realny miernik wartości, którego przez cały okres PRL praktycznie nie było.

**RATKOWSKI: Pamiętam moje wrażenia, kiedy bodaj już za czasów Gierka rozpisano przedpłaty na samochody. Pomyślałem wtedy, że to oznacza walkę o stabilizację złotego i że będzie on w gospodarce centralnie sterowanej autentycznym miernikiem wartości. Niestety, okazało się to wówczas przedwczesne. Zresztą i koszty reformy Balcerowicza były ogromne.**

**SADOWSKI:** Cena reformy była ogromna i moim zdaniem można było uniknąć kosztów w tej skali. Tu, w tym pokoju rozmawialiśmy ze Stanisławem Gomułką, który był rzecznikiem reformy Balcerowicza, zanim została wprowadzona. Był u nas w domu na kolacji i pamiętam, zwróciłem mu uwagę, że będą mieli 25-procentowe bezrobocie! – No, może tyle nie – odpowiedział – ale 20 procent może być. Trudno!

Uważałem, że to nie jest odpowiedź, bo sądziłem, że trzeba iść oględnie, ale czy ja wiem – może trzeba było tak zrobić? Pójść na całego?

**KOZŁOWSKI: Tak zwany plan Balcerowicza można analitycznie rozdzielić na dwa składniki. Pierwszy, to szokowe zrównoważenie gospodarki, a właściwie rynku towarów konsumpcyjnych, drugi, to struktura gospodarki. Od początku widać było, że brak jakiejs strategii zastępowała wiara w rynkową samoregulację.**

**SADOWSKI:** Jednak ogromnym sukcesem było, że udało się w tak krótkim czasie zmienić ustrój. Koszt wielki, ale zwycięstwo też ogromne! Przemiana była wymodlona przez naród na klęczkach i to się stało. Wszyscy widzieli, że kraje kapitalistyczne pławią się w dobrobycie i w sklepach wszystko jest... Ostrzegaliśmy moich rozmówców z kręgów „Solidarności”, że „tam” w sklepach jest pełno wszystkiego, bo ludzi oddziela od tych sklepów bariera cen! – Jeśli my się taką barierą oddzielimy, to i u nas też będzie pełno w sklepach. Polacy nie wierzyli!

Dalszy ciąg wyglądał jednak tak, że ten kapitalizm jest dziś przez wielu znienawidzonym...

**RATKOWSKI: ...kapitalizmem!**

**SADOWSKI:** No właśnie. W dodatku mamy taką „nibyprawicową”, a w istocie populistyczną partię polityczną, która codziennie dowodzi, że mamy sytuację najgorszą z możliwych na przestrzeni całych dziejów Polski. W dodatku ta sytuacja powstała wskutek spisku. I „spiski”, i ocena ogólna to oczywiście kłamstwo, bo na tle tego wszystkiego co się dzieje naokoło nas,

mamy całkiem niezłą sytuację. Dziś premierowi wypomina się, co na początku 2008 roku zapowiadał, zapomina się jednak, że ten rząd niemal natychmiast po dojściu do władzy stanął w obliczu bardzo groźnej sytuacji wywołanej przez wielki kryzys światowy i z tą sytuacją nieźle dał sobie radę.

Można powiedzieć, że to nie jego zasługa... Nieprawda, bo przecież było wielu takich, co proponowali zupełnie odmienne strategie. Ja zaliczam się do tych, którzy od początku poparli linię rządową i mam prawo mówić, że bardzo dobrze się stało. Nie podzielałem np. poglądów mojego przyjaciela profesora Grzegorza Kołodko, który chciał, żeby rząd wykladał pieniądze dla pobudzenia popytu.

**RATKOWSKI: I dobrze, że nie wykladał, bo został mu w rękawie taki as. Do wyciągnięcia, gdy będzie trzeba. A tak nawiasem mówiąc, czy nie powinniśmy sterować raczej w stronę systemu szwedzkiego? Różnice dochodowe w Polsce są dziś porażające. Jak w XIX wieku!**

SADOWSKI: Dzisiejsza sytuacja jest pod względem gospodarczym stosunkowo dobra, choć nastąpiło poważne spowolnienie wzrostu, a z nim nieuniknione kłopoty. Natomiast sytuacja społeczna, polaryzacja dochodów, jaka powstała w wyniku transformacji, jest rzeczywiście aż absurdalna, a przede wszystkim szkodliwa.

**DYBICZ: Czy nie hamuje ona w istocie tempa rozwoju kraju?**

SADOWSKI: Na spowolnienie wzrostu gospodarczego, a z nim i tempa rozwoju, wpłynął u nas przede wszystkim ogólny kryzys i sytuacja zewnętrzna.

**DYBICZ: Więc powiada Pan profesor, że gdyby nie było kryzysu, a polaryzacja dalej postępowała, to i tak nie byłoby źle?**

SADOWSKI: Polaryzacja oznacza, że znaczna część społeczeństwa nie korzysta z rozwoju i to jest źle w każdych warunkach. Kłopot polega na tym, że nie udało się zlikwidować powstałego przecież w wyniku reformy Balcerowicza zjawiska endemicznej biedy i masowego bezrobocia. W dodatku jeśli tempo wzrostu spada poniżej 2 proc., społeczeństwo odczuwa to jako pogorszenie sytuacji. Zauważyliśmy to z profesorem Bobrowskim jeszcze w czasach PRL-u. Obecny rząd starał się utrzymać powyżej tego progu i dopiero w tym roku okazało się, że spadliśmy niżej, choć może sytuacja zacznie się poprawiać. I powtarzam – w porównaniu do całej Europy jesteśmy wręcz w dobrej sytuacji.

**KOZŁOWSKI: Ale ciągle istnieje problem, czy zły rozkład dochodów nie hamuje postępu? Bezrobocie wśród młodych przekłada się wprost na zahamowanie budownictwa mieszkaniowego, a to z kolei ma dalsze konsekwencje w meblarstwie, dietności społeczeństwa, w produkcji wyrobów dla niemowląt i tak dalej...**

SADOWSKI: Mechanizm działania rynku jest dobrze rozpoznany, a w nim rola popytu. W gospodarce są zawsze węzły różnych zależności i popytu tak łatwo się nie tworzy. Ale są rozmaite możliwości. Podobało mi się rozwiązanie, jakie poznałem w Nowym Jorku, gdzie całe dzielnice tanich mieszkań były budowane przez towarzystwa ubezpieczeniowe w ich własnym dobrze rozumianym interesie. Ale cóż, w konkretnej

sytuacji jest pełno ograniczeń. Powstaje więc pytanie o drogi wyjścia. Przychodzę tu na panów podwórko i przyznaję, że gdyby udało się zmniejszyć te rozpiętości dochodów, a przy okazji (bo to nie przekłada się bezpośrednio, niestety) podnieść poziom życia najgorzej sytuowanych, to byłby niewątpliwie impuls prorozwojowy.

Ale tu się pojawia coś, co stanowi jedną z istotnych słabości nauki ekonomii, znaną zresztą i innym naukom, mianowicie brak twardych kryteriów rozstrzygnięcia zbiegu przeciwstawnych wątków rozumowania. Tu właśnie mamy do czynienia z takim zbiegiem wątków w kwestii płacy minimalnej lub w ogóle płac najniższych grup dochodowych. Według jednego rozumowania podniesienie tych płac zniechęci przedsiębiorców do zatrudniania ludzi, bo cena pracy będzie za wysoka, a więc efektem będzie wzrost bezrobocia. Według drugiego, jeśli podniesimy te płace, to poziom spożycia najgorzej sytuowanych natychmiast wzrośnie, a rosnący popyt zacznie napędzać wzrost gospodarki i zatrudnienia. To zresztą teza nie moja, ale wielkiego polskiego ekonomisty Michała Kaleckiego.

**RATKOWSKI: Wszystko zależy od tego, czy nasze firmy będą na tyle elastyczne, by nie zwalnając ludzi doczekać się zwiększenia popytu i rozwijać działalność, czy też przyduszone ceną pracy zaczną się zawijać?**

SADOWSKI: Należę do tych ekonomistów, którzy za Kaleckim uważają, że potrzebne jest podniesienie płacy minimalnej i będą tego pozytywne efekty. Tylko dodaję zaraz – nie na takiej zasadzie, jak tego żądają teraz związki zawodowe, uprawiające zwykłą demagogię. Jestem za podniesieniem płacy minimalnej zróżnicowanej regionalnie, bo koszty utrzymania w różnych regionach są różne. Jest też drugi element, który Brytyjczycy dawno u siebie wprowadzili, mianowicie niższy poziom płacy minimalnej dla młodych ludzi wchodzących dopiero na rynek pracy. Na pewien czas. Powiedzmy trzy lata. Zamiast umów „śmieciovych”. To będzie zachęta i dla przedsiębiorców, i dla młodych ludzi, a bezrobocie się zmniejszy.

Nie twierdzę, że muszę mieć rację, ale sądzę, że to coś, co warto sprawdzić i zobaczyć, jakie będą tego efekty.

**RATKOWSKI: A może jednak obciąć te najwyższe kominy? Gdy mi różni tłumaczą, że prezesi PKP, LOT czy innego Stadionu Narodowego muszą zarabiać krocie, bo inaczej tych wybitnych fachowców podkupi sektor prywatny, to powiadam „i chwała Bogu”, niech się ludzie sprawdzają i awansują.**

SADOWSKI: Popieram!

**DYBICZ: A system podatkowy? Czy Pana zdaniem nie ma tu miejsca na jakąś korektę?**

SADOWSKI: O, z pewnością. System podatkowy nie był właściwie nigdy w Polsce dobry, a uległ jeszcze dodatkowo deprawacji za rządów PiS, kiedy zlikwidowano najwyższą grupę zarobkową obciążoną podatkiem 40-procentowym. PiS jak wiadomo występował w agitacji wyborczej przeciw podatkowi liniowemu, bardzo słusznie zresztą, bo podatek liniowy to bzdura, natomiast zrobił coś bardzo podobnego i dorzucił grosza bogatym. Logiczny system podatku

dochodowego to system zdecydowanie progresywny, który powinien zawierać więcej przedziałów, niż było u nas kiedykolwiek. To powinna być drabinka pnąca się do góry – nie widzę przeszkód, by był podatek 50 proc., a może i 60 proc. od najwyższych części dochodów. Za bardzo dobrą koncepcję uważam system francuski, w którym dwie rzeczy odgrywają rolę: poziom dochodów i wielkość rodziny – każdy może swoją kratkę łatwo znaleźć. Jednak gdy Hollande wprowadził 50-procentową progresję, ma bunt, bo ludzie wyobrażają sobie, że cały dochód będzie takim podatkiem obłożony. Nieprawda, bo dotyczy to tylko szczytowej części dochodu.

Jestem za podatkiem progresywnym, silnie progresywnym, ale wiem, że nie jest to łatwa sprawa. Mamy też jeszcze inny czynnik, mianowicie Unię Europejską. Dla Unii byłoby pożądane, aby systemy podatkowe zostały ujednolicone, jednak społeczeństwa europejskie są różne i takie zmiany wymagają lat! Kiedyś zresztą, pewnie do tego dojdzie, ale to bardzo długa droga.

Mamy więc mnóstwo trudności, ale w kwestii perspektyw na poprawę jestem jednak optymistą. Sądzę, że świat znacznie z kryzysu wychodzi, choć na razie tendencje stagnacyjne jeszcze się utrzymują.

**KOZŁOWSKI: Jest taka prognoza dotycząca Polski, która mówi, że czeka nas długie brnięcie w mule...**

SADOWSKI: Potwierdzać te obawy mogłoby doświadczenie wielkiego kryzysu z lat 30. XX wieku, który był potężny i wszyscy to silnie odczuli. Wtedy dochód narodowy USA skurczył się o połowę i była to ogromna trauma dla całego pokolenia Amerykanów, którzy wspominali to przez dziesięciolecie. Bezrobocie światowe sięgnęło 20 milionów ludzi. Ale świat był o wiele mniejszy... Teraz to 70 milionów!

**RATKOWSKI: Wtedy bezrobotnych Chińczyków nikt nie liczył. Zresztą być może bezrobocie będzie immanentną cechą przyszłej gospodarki i będziemy się musieli do tego przyzwyczaić.**

SADOWSKI: Wtedy było znacznie mniej ludzi na świecie, więc procentowo bezrobocie było groźniejsze, ale liczyła się naprawdę tylko gospodarka krajów wysoko rozwiniętych Ameryki i Europy. Tam w latach trzydziestych rzeczywiście dawała się na serio odczuwać długotrwała stagnacja. Do tego stopnia, że pojawiły się teorie stagnacji sekularnej, dowodzące, że nie ma z niej wyjścia. Ostatecznie okazało się, że tak być nie musi, ale przykro o tym mówić, bo pomogła II wojna światowa, która stworzyła wielkie zapotrzebowanie na uzbrojenie. Przemysł amerykański zaczął masowo produkować czołgi, samoloty i co kto chce, potem był Plan Marshalla, a to w sumie ożywiło gospodarkę do tego stopnia, że nie tylko zapomniano o stagnacji, ale zaczął się silny ruch w górę. Wszędzie!

**RATKOWSKI: Mogą mi Amerykanie sprezentować czołg, albo coś tańszego, jakiś samochód...**

SADOWSKI: Panu nie sprezentują, bo nie mają odpowiedniego bodźca, ale przecież ludzie biją się gdzieś na świecie przez cały czas! A my brniemy w mule. Pojawia się więc teoria „kryzysu ciągłego”, i to Balcerowicz takie teorie wygłasza. Ja jednak nie widzę powodów po temu.

To zresztą dla mnie problem główny, którym zajmuję się od wielu lat. Perspektywy światowe. A te w dłuższym okresie są rzeczywiście słabnące i to z różnych przyczyn. Jedną z nich to trwający ciągle przyrost ludności świata o 70 mln osób rocznie! Czyli o 70 mln bezrobotnych.

**DYBICZ: Ale też konsumentów!**

SADOWSKI: No tak, ale ci ludzie nie mają pieniędzy i mogą najwyżej zginąć z głodu. Z siedmiu miliardów ludności świata, miliard to głodujący, kolejny miliard to niedożywieni. Trzeci miliard też nie cieszy, bo to przejedzone tłuszciochy. Nie wiadomo co będzie dalej, bo wśród demografów istnieją rozbieżne opinie. Jest taka szkoła, która twierdzi, że około roku 2040 nastąpi kulminacja i potem liczba ludności będzie spadała. Prawdę mówiąc nie jestem przekonany. Gdyby w krajach słabo rozwiniętych nastąpiła radykalna zmiana poziomu życia i edukacji – to tak. Poziom edukacji, jak stwierdzono w badaniach, ma tu szczególnie istotne znaczenie, bo sam fakt umożliwienia dziewczętom przejścia przez szkołę podstawową podnosi tempo wzrostu gospodarczego. Jakoś to pomaga. Tylko że to jest długi proces...

**RATKOWSKI: *Post hoc, non est propter hoc!* Edukacja kobiet może być tylko czynnikiem współtowarzyszącym postępowi. Zresztą diabli wiedzą, jak to jest, gdy patrzy się na postsowieckie islamskie pseudorepubliki w Azji Środkowej.**

SADOWSKI: W każdym razie jeśli taki postęp nie nastąpi, to liczba ludności będzie dalej rosła, a żywności po prostu nie ma.

**DYBICZ: I znów pojawia się problem maltuzjański?**

SADOWSKI: Akweny z rybami są coraz bardziej przetrzebione, arealty żywnościowe się wyczerpują, brakuje wody. Zwiększenie podaży żywności nie jest łatwą sprawą, a klimat się zmienia. Nawet jeśli nie zawinił człowiek, to temperatura rośnie, a to utrudnia nam życie. Przeciwdziałanie ze strony przemysłu jest ułamkiem tego co niezbędne, a Chiny wraz z USA powiadają, że ich to nie obchodzi.

**KOZŁOWSKI: Nie mówiliśmy jeszcze o tym, że Pana spojrzenie na świat wynika z wieloletnich badań prowadzonych także za granicą, w Genewie czy w Afryce, gdzie Pan wykładał, i że właśnie wiedza kumulowana i konfrontowana z tym, co widział Pan po powrocie do kraju, dawała impuls kolejnym koncepcjom reformatorskim.**

SADOWSKI: Ostatni mój powrót, to powrót ze szpitala, a właściwie z drugiej strony. Osobiście jestem więc coraz mniej zainteresowany rozwojem sytuacji, ale niezmiennie zachowuję równowagę ducha i odpowiednią dawkę optymizmu. Także w tych podstawowych, gospodarczych sprawach.

**Rozmawiali:**

**PAWEŁ DYBICZ  
PAWEŁ KOZŁOWSKI  
FILIP RATKOWSKI**

Warszawa, 23 maja 2013 r.